Tom III. Nr. 1.

1. Lipca 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

PIOTR MYTNIK,

czyli:

Nawrócenie pewnego skąpca.

Był niejaki Piotr Mytnik, bogacz nad bogacze, ale setnie skąpy i na ubogie niemiłosierny. Owóż jednego czasu siedzieli sobie dziadkowie pod kościołem i o tym człeku nieużytym rozpowiadali różne a różne historje.

Jeden prawi: — Dużo ludzi zaznałem; toć się przytrafił lepszy i gorszy, ale już nad Mytnika nie znam gorszego.

Drugi prawi: — Oj ten Piotr! prędzej myślę, twardy-byś kamień poruszył, niż jego.

Trzeci prawi: — Jeszcze się ten nie urodził, coby od niego jakowej łaski doznał.

Czwarty prawi: — Oj nie urodził się i nie urodzi pono! bo jak świat światem takiego skąpca nie było i nie będzie.

Tak bajdurzyli dziadkowie między sobą, siedzący pod kościołem, a każdy miał coś niedobrego do powiedzenia o Piotrze Mytniku, co był taki skąpiec nieużyty. Aż tu jeden dziaduś o

kuli chodzący powstał między nimi, pokręcił siwą głową i tak się odezwie:

— Moiście wy, a co mi dacie za tę sztukę, jeśli wam od tego skąpca przyniosę jałmużnę?

— Ho, ho człeku! zawołali drudzy na niego — nawet się nie kuś, bo nadaremnie! Jeszcześ gotów na swoje stare lata oberwać szturkańca, albo cię psami wystraszy i tyle wszystkiego.

— Niech się dzieje wola Boska! odpowie dziaduś — idę zaraz do niego, a wy tu poczekajcie na mnie.

— Ejże nie chodź! radzili mu jeszcze dziadkowie, a on jeno głową kiwnie i wali na prost ku domostwu, kędy zamieszkał ów Piotr, bogacz nad bogacze a taki skąpy. I właśnie utrafił w sam czas, kiedy piekarz z chlebem dla czeladzi pana Piotra wjeżdżał na dziedziniec. Za wózkiem szedł sam gospodarz. Więc dziaduś w pokorne prośby do niego:

— Zmiłuj się panie, bardzom głodny podaruj co!

A na to on skapiec rzuci się, jakby go osa ugryzła.

— Nie pójdziesz mi ztąd, włóczykiju! zawoła i cały się zapyrzył, jak ten jendor nieprzymierzając.

— Mój dobrodziejaszku, mój złoty panoszku! prosi dziaduś i rękę wyciąga — choć okruszynkę chleba!... zmiłuj się, bom strasznie głodny.

— Poczekaj ty kulasie obmierzły! krzyknie jeszcze bardziej rozgniewany Mytnik — dam ja ci chleba!... I dalej począł się oglądać za jakim kamieniem, aby dziada upartego poczęstować. Na szczęście jakoś kamienia nie było w tem miejscu; otóż skąpiec w srogim gniewie sam nie wie co robi, porywa za bochenek chleba z wozu i cisnął na dziada. Temu nie potrzeba było więcej. Uradowany choć takim nieszczerym datkiem, czemprędzej porywa za chleb i w nogi.

I dopieroż wydziwić się dosyć nie mogli, oni czekający pod kościołem, skoro im dziaduś ukazał bochen chleba, co go w tak dziwny sposób dostał od Piotra Mytnika.

Aż tu w trzy dni potem zdarzyło się, że on skąpiec ciężko zachorował. I przyszła nań mdłość wielka i nieprzytomność, w której jakoby zasnąwszy miał takie widzenie: Oto niby po śmierci stawiono go na sąd Boży, gdzie mu się każą rachować

z całego życia. I tuż przed sobą ujrzy wielką *wagę*, na której miały się zważyć grzechy jego, jako też dobre uczynki. Po lewej stronie tej wagi stali czarni murzynowie — a to z piekła czartowie. A zaś po lewej stronie stali cudnie piękni mężowie — a to święci Aniołowie. I owóż na jedną ważkę sypią grzechy Piotra Mytnika czartowie, a było grzechów strach jak dużo. A zaś Aniołowie święci napróżno oglądają się, coby na drugą ważkę dobrego położyć i bardzo się posmucili, bo w całym żywocie Piotra nie było ani jednego uczynku dobrego. Oj panie Piotrze, coś tak żył niedobrze, patrzaj! jużci czartowie dybią na duszę, aby ją pochwycić jak swoją... Aż tu w sam czas przypada dziaduś kulawy i ukazuje Aniołom bochenek chleba, co go przed trzema dniami dostał od Mytnika, prosząc zarazem, aby się sędziowie powstrzymali ze sądem i nie potępili grzesznika. — Hej! myśli sobie skąpiec — nie na wiele mi się tu przyda ten chlebuś, dziadku, bom go dał nie z miłosierdzia, jeno ze złości cisnąłem-ci go na głowę. — Tymczasem Aniołowie biorą chleb z ręki dziada i kładą go na swoją ważkę. Obaczą iż mało ważył i grzechy przeciężyć nie mógł. I obrócą się do Piotra Mytnika mówiąc:

— Grzeszna duszo, idź-że po raz wtóry na świat a dokładaj do tej wagi dobrego. Bo jeśli zaniechasz tego, wiedz o tem jako przepadniesz na wieki wieków i onym czarnym murzynom na męki oddanym będziesz.

A gdy Piotr przyszedł do siebie, dopiero się przestraszył onego widzenia i rzecze:

— Patrzaj! jakem widział wszystkie moje grzechy na kupie, a strach co tam tego było, toć już prawie myślałem żem zgubiony. A widzisz, jaka to jest moc cudowna jałmużny, chociaż tak lichej, iżem nie zginął od razu.

Skoroż powstał z owej niemocy na nogi, cale się inny człek z niego zrobił — nad podziwienie wszystkich. I już na potem hojny był w rozdawaniu jałmużny i w miłosierdziu tak wielki, iż wszystkiej majętności swej nie żałował. Nakoniec i samego siebie ofiarował na przebłaganie gniewu Bożego i na zagładę poprzedniego żywota grzesznego.

SIEROTA.

Ani u mnie siwe woły
Jak sokoły —
Ani owiec z białą wełną
U mnie pełno —
I w gumiesku i w komorze
Żal się Boże!
Nikt nie puka w moje wrota,
Bom sierota.

W żółtym piasku ojciec leży
U wybrzeży —
Matka ojca nie przeżyła,
I mogiła
Zasypała jej powieki
Na wiek wieki —
Mnie zaś smutek i tęsknota!
Bom sierota.

Rówiennice płochą zgrają
Mnie mijają —
Na nich lama lśni wspaniale
I korale —
Powiązane wstążką włosy
Rusej kosy —
Na mnie jeno ruta złota,
Bom sierota.

W. K.

Lepsze czyste sumienie, jak wypchane kieszenie.

Opowiadał Grześ z Mogiły.

— Ha, ha, ha, a ty urwipołciu, a ty gamoniu, to tobie się mojej dziewki zachciewa? Pek ci było! Patrzajcie go jaki mi panicz, jaki mi gospodarz. Ha, ha, ha! A tożbym ja sobie kazał pierwej sztukę nosa urzezać, niż żebym moją Kasię miał za ciebie wydać, ty chudy pachołku. Jak mi Bóg miły! Ha, ha, ha!

Tak się śmiał pan Pytel, mielnik w Patraszówce, kiedy raz nad wieczorem przyszedł do niego Sobek, co mu za parobka służył i jął go prosić o córkę. Aże się brzuch trząsł mielnikowi, aż się za boki chwytał, tak się mu wzięło zanosić od śmiechu.

Cale nie na śmiech zbierało się Sobkowi. Był on sobie robotny, uczciwy, a do tego taki walny parobek, że drugiego

we wsi chyba ze świecą poszukaj. Kasia była sobie także urodziwa dziewucha, toż i nie dziwota że Sobek przylgnął do niej niby mucha do miodu, a ona do niego jako miód do muchy. Straszecznie-ci się umiłowali, a tu ani w ząb; mielnik twardy jako młyński kamień.

— Ej panie mielniku — mówił mu jeszcze na pół z płaczem Sobek — tać już pofolgujcie mojemu proszeniu. Nie mam ja tam prawda żadnych majątków, aleć mam ręce zdrowe i do pracy się nie lenię jako sami wiecie. A toż jak wydacie Kasię za jakiego kapotowego drągala, co się będzie jeno po karczmach i jarmarkach włóczyć, to wnet przehula i swoje i wasze! — Hej, hej miły Boże, a po cóż ja ją tak srodze ukochał! A już jak ci mi jej nie dacie, to mi się chyba obwiesić albo i utopić.

Mielnikowi było już tego zanadto. Lubiał on bardzo cwancygierki i lepiej znał się na nich jak na swej mące z paździerzami, więc miał też uczciwe słowo tylko dla takich ludzi, u których czuł grosiwo. Toż obruszył się srodze na takie Sobkowe gadanie, uderzył pięścią w stół i zawołał:

— A nie przestaniesz raz hultaju! Ruszaj sobie odemnie i ani mi się na oczy nie pokazuj! Ruszaj się obwiesić, ty wisielcze jakiś! A przez próg mi ani nosa nie wściubiaj! Gotów mi jeszcze hultaj jakiego paskudztwa narobić!

Tak wykrzykiwał mielnik; zapyrzył się jako jendor, a pięścią sobie po stole do tego wybijał. A na one krzyki zerwał się pies mielników i zaczął ujadać pod stołem, i kot przestał po swojemu marmotać, a stanął jeno na przypiecku i ogon zadarł do góry.

Biedny Sobek skoro zobaczył, jako się to wszystko na niego sprzysięgło, zakrył sobie jeno oczy rękawem, rozbeczał się srodze i wyszedł z izby. A do tego ozwało się w drugiej izbie przeokropne szlochanie utrapionej Kasi, co niechcący wszystkiego wysłuchała. Taki ci się więc zrobił jęk i krzyk, warczenie i marmotanie, jakoby w bóżnicy.

Srodze zasmucony wyszedł Sobek od mielnika i już sam nie wiedział co począć. Gdzie tu pójść kiedy pan Pytel wygania? I już go taki żal ścisnął za serce, że zaczął bezbożnik na

prawdę przemyśliwać gdzieby się tu albo utopić, albo obwiesić, albo co innego sobie zrobić, bo już tak ani sposób żyć mu dłużej.

Więc sobie tak idzie drogą i nie wiedzący o bożym świecie; głowę w dół spuścił, a nogi stawia jakoby pijanica i już nic a nic około siebie nie widzi. Aż tu nagle — Sobek! Sobek! — zawołał go po imieniu jakiś głos znajomy.

Ocknął się Sobek na to wołanie jakoby ze snu, podniósł głowę, spoziera na około, a tu sługa dworski stoi na dziedzińcu i palcem kiwa ku niemu. Podsunął się więc ciekawy, na co go tam potrzebują.

— Sobuś! — zawołał sługa — a nie skosiłbyś ty trawnika przed gankiem? Nie ma już kogo napędzić do tej roboty, a koniecznie trzeba, żeby był porządek, bo goście mają zjechać.

Sobek zawrócił się zrazu i chciał odejść, boć on już chciał o tamtym świecie myśleć a nie o trawniku; ale jak ci go sługa wziął namawiać i prosić: — *Sobuś, Sobeczku!* aże Sobuś zmiękł i pomyślał sobie, że trzeba jeszcze przed śmiercią choć wygodę ludziom zrobić. Zabrał się więc i zaczął kosić on trawnik przed dworem.

Stara to rzecz, że robota to najlepsze lekarstwo na wszystkie turbacje. Owóż i Sobek jak się wziął do koszenia, tak ci mu to wszystko zaczęło wietrzyć z głowy. Rozumował sobie tak i siak, aże przy końcu już i o topieniu i wieszaniu z kretesem zapomniał. Zrobił się też wreszcie wieczór i zaczęli się ludzie schodzić po wypłatę. A że Sobek skończył także swoją robotę, więc stanął sobie z ludźmi i tak gadu, gadu, czekają wszyscy na panią, co im zawsze w sobotę wypłacała. Ano wyszła w końcu i pani, już od dwóch lat wdowa po mężu i nuż tam obchodzić całą litanię i wściubia do ręki każdemu, co mu się należy. A tego o żonę a tego o dzieci się pyta, czasem tam i co doda dla dziewcząt na tasiemki, boć była to pani że jeno do rany przyłożyć. Dla krótszej roboty miała pani pieniądze pozawijane w papierki, a w każdym papierku było jednakowo. Owóż jak już obeszła koło, przyszła i do Sobka.

— A cóżeś ty robił? — pyta się onego a tak milutko,

że się Sobkowi właśnie o dwadzieścia funtów lżej na sercu zrobiło. — Skłonił się więc do kolan i rzecze pokornie:

— A toć ja jeno tyle com trawnik skosił.

Wzięła więc papierek z pieniądzmi i wściubiła mu do ręki, choć takie same papierki to za pół dnia bywały. Podziękował Sobek, schował grosze do kieszeni, pokłonił się wraz z innymi i ruszyli wszyscy do domu.

Wesoło było po drodze. Parobcy baraszkowali i śpiewali aż się het po lasach rozchodziło; kobiety sobie znowu jakieś ciekawości opowiadały, jedna prędzej jak druga a spoglądały na Sobka z pod oka. On zaś szedł sobie bokiem i myślał ciągle nad tem, gdzie się tu teraz obrócić, kiedy pan Pytel wygania.

Po nie długiej chwili rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę, a Sobek sam jeden się został, szedł i nie wiedział gdzie idzie. Przyszło mu wreszcie na myśl zobaczyć, co też mu pani dała za te dwie godziny roboty.

— Może choć na powróz wystarczy — szepnął mu zły duch do ucha.

Sięgnął ręką do kieszeni, wyciąga, rozwija papierek, patrzy: — Chryste Panie! — a tu same dukaty! Sobek znał przecież dukaty, bo widział je u wolarzy z Podola, a choć się dobrze pociemniło na dworze, poznał że to złoto. Stanął więc jakby go piorun raził. Myślał z początku czy to nie sprawka czartowska? Ale gdzież tam — i przeżegnał się ze trzy razy i złoto na ręce przeżegnał, ale się w smołę nie rozlało a toż i sprawiedliwe dukaty. Tak się więc z razu uradował Sobek tym trafunkiem, że się kopnął i nuż biegnąć jak głupi, bo sam nie wiedział gdzie biegnie. Pomiarkował się aż za chwilę, stanął i dalej bierz na rozum, co się to ma znaczyć.

Jużcić od razu przyszło mu do głowy, że się to pani omyliła, bo trudno za skoszenie niewielkiego trawnika dukatami płacić.

— Ale co to ja mogę mieć za te dukaty! — myślał Sobek. — A toż ja sobie grunta kawał kupię, chudoby ze trzy sztuki, chałupę wystawię... A co też mielnik potem powie, jak pójdę do niego po córkę! Hej Kasienku moja! nie frasuj się srodze, boć tam pan Bóg o nas pamięta.

— Aleć to nie twoje, jeno jejmościne — mówiło mu na to sumienie i brzęczało mu w uszach jak natrętna mucha. — To nie twoje!

— Cóż ja zrobię, co ja zrobię! — oj biedna moja głowa! — zalamentował Sobek i nuż biegnąć dalej.

— Nie — ja nie oddam — zaczął sobie znowu rozumować. — Powiem, jak mię kto zapyta zkąd mam pieniądze, żem znalazł, żem wykopał!...

— A czemuż by ja nie miał być szczęśliwy z moją Kasią jedyną, mój Boże kochany! dyć to nie ukradzione...

— Będziesz kłamcą i złodziejem! — zawołało w nim sumienie i tak mu wrzasło w uszach że go aż ogłuszyło.

— O dla Boga, złodziejem! — krzyknał Sobek straszliwie i nuż biegnąć dalej.

Po chwili stanął znowu i tak jął medytować:

— Jeszcze inaczej zrobię. Pójdę het daleko, w cudzym kraju kupię sobie zagrodę, a potem konikami przyjadę po Kasienkę i wezmę ją ze sobą. A któż tam będzie wiedział, zkąd ja mam pieniądze.

— Pójdziesz prosto do piekła! — wrzasło sumienie że go aż wstrząsło całego i przykląkł do ziemi.

— Do piekła! — zawołał okropnym głosem zrozpaczony Sobek — Chryste Panie, zmiłuj się nademną! i znowu zaczął biegnąć jak szalony.

Aż tu nagle uderzył czołem o coś twardego, że mu aż świeczki w oczach stanęły. Zatoczył się Sobek, patrzy, a tu krzyż stoi przy drodze z męką Chrystusa Pana. Miesiączek ślicznie świeci u góry, a w jasności wielkiej widzi cierniową koronę pana Jezusa. Spojrzał w koło, a tu las czarny że aż mrowie po kościach przechodzi. Więc go tak mocno tknęło w sumieniu i widać łaska Boska spłynęła na jego grzeszne myśli, bo ukląkł duchem pod krzyżem, zmówił jeden pacierz i drugi i trzeci, i pan Jezus oświecił go w tej sprawie.

— Pójdę jutro i oddam — postanowił Sobek — i spokojny położył się spać pod krzyżem, bo już późno w nocy było.

Słodko bardzo spało się Sobkowi pod onym krzyżem w lesie i przedziwny miał sen tej nocy. Owóż śniło mu się że

widział wielką wagę, taką jak to mięso na niej ważą — tylko że tamta była het od nieba aż do ziemi. Otóż na jednej stronie tej wagi była ogromna kupa złota. Druga była próżna. Aliści po chwili nadchodzi jakiś człowiek w łachmanach, ukląkł i zaczął się tak serdecznie modlić, że mu się łzy czyste jako perły z oczów puściły. I wtedy zaczęła się ona kupa złota niby lżejsza do góry podnosić, a z nieba ozwał się głos ogromny: — Więcej u mnie waży jedna szczera modlitwa żebraka, niż wasze skarby światowe!

Zniknął potem ów człowiek w łachmanach i znowu było próżno na jednej stronie. Aliści po chwili nadchodzi jakiś człowiek i niesie drugiego na barkach, co był strasznie poraniony. Złożył go ano na tej wadze, wydobył z zanadrza szmaty i maście opatrywał mu rany, wymywał wodą i przykładał maście. I wtedy podskoczyła znowu spory kawałek ona kupa złota, jak gdyby jej z połowę ubyło, a z nieba ozwał się ten głos ogromny: — Więcej u mnie waży miłość bliźniego, niżeli wasze skarby światowe!

Potem znowu nic nie było. Aż po chwili przyszedł jakiś człowiek a temu bardzo źle z oczu patrzyło. Miał noże straszne koło siebie; zarośnięty był i ponury. A jak człowiek ten przyszedł tylko na oną wagę, tak upadł na kolana, rzucił od siebie broń wszelką, zaczął się modlić i bić czołem o ziemię: — Boże mój, Boże mój! — wołał ten zbójca zasmuconym głosem — oto chcę się poprawić, oto będę pił wodę z krynicy i będę jadł korzonki, a ludziom będę dobrze czynił, żebyś mię panie Boże tylko nie opuścił. — I wtedy podskoczyła w górę ona waga ze złotem, a to złoto zniknęło z niej gdzieś do szczętu. Z nieba zaś ozwał się głos ogromny: — Więcej u mnie waży nawrócenie się jednego grzesznika, niż wasze skarby światowe!

Potem znikło to wszystko z przed Sobkowych oczów, a co innego jęło mu się pokazywać. I widział kościół ładnie ubrany i świece jarzące tam stały a on klęczał z Kasią przed ołtarzem i właśnie zaczął organista coś ślicznego śpiewać — kiedy się nagle obudził.

Słońce już zeszło i ślicznie już było na świecie. Podźwignął się Sobek, przetarł oczy, zmówił pacierz pod krzyżem i ruszył do wsi. Droga była nie długa, toż duchem stanął Sobek

w młynie pana Pytla. Zaszedł tam po cichu do komory kędy zawsze sypiał, ubrał się w świąteczną sukmanę, oporządził do okoła i ruszył tak do dworu.

Ledwo co zaszedł na dziedziniec dworski. aż tu usłyszał jakieś krzyki i kłopot wielki. Szczęściem pokazał się ten sam sługa dworski co go wczoraj do koszenia wołał, więc go Sobek ułapił duchem i pyta, co się takiego stało.

— At widzisz Sobku — mówił sługa — pani naszej wczoraj ktoś wyciągnął, a może pani sama gdzie zatrąciła, cały zwitek dukatów. Byłoć ich tam kilkanaście, a to zawsze jest dosyć wielka suma. Owóż pyta się nas pani dzisiaj, czy my nie widzieli. Więc baby zaraz że to mają złość na siebie, zaczęły użerać jedna do drugiej: a tyś wzięła, a tyś wzięła — i tak zaraz cały jarmark.

— A nie można by z panią się zobaczyć? — zapytał Sobek i uśmiechnął się ciekawie.

— A cóż ty masz do pani? — pytał sługa.

— Ot, mam tam o coś prosić — rzekł Sobek, skrobiąc się w głowę niby zaturbowany.

— A to idź, właśnie pani jest w czeladnej izbie — odpowiedział sługa.

Sobek więc ruszył obces do czeladnej izby. Ucichnął tam już krzyk, bo pani się wdała do tej sprawy. Więc Sobek nic nie mówiąc, pokłonił się tylko nisko i oddał pani zwitek z dukatami. Pani wzięła, rozwija:

— A ty zkąd to masz? — zawołała zdziwiona, zobaczywszy dukaty. A dziewki gęby pootwierały, bo nie wiedziały co to znaczy.

Dopieroż Sobek zaczął się spowiadać ze wszystkiego: jako on dostał te pieniądze za skoszenie trawnika, jako potem chciał sobie zatrzymać bo się w Kasi rozmiłował a mielnik nie chciał mu ją dać, jako pod krzyżem natchnął go pan Bóg inaczej — i do krzty wszystko rozpowiedział. Pani strasznie się tem uradowała, kazała Sobkowi poczekać na ganku a sama poszła do pokojów.

Czeka Sobek na ganku i myśli, co to z tego będzie. Aż tu naraz drzwi się otworzyły i wyszła znowu pani a za nią

gości kilkoro i nuż się jeszcze raz rozpytywać Sobka, a tymczasem posłano chyżo po mielnika.

Zasapał się mielnik, bo nie wiedział na co go tak skoro pani potrzebuje, ale już oczy wytrzeszczył jak cebule, kiedy ujrzał Sobka na ganku i tyle państwa naokoło niego.

— Panie Pytel — zawołała pani już z daleka i uśmiechnęła się do tego serdecznie — czemu to pan nie chce dać swojej Kasi za Sobka?

Mielnik popatrzył srogo na Sobka, ale się pani tak niziutko skłonił, że mało nosem ziemi nie zaorał.

— Wielmożna dobrodziejko — zaczął się jąkać — a toć ja bym mu dał, ale on nic nie ma, chyba te dwie rąk do pracy.

— Ha, ha panie Pytel — mówiła pani dalej — a czy to nie dosyć? Lepiej być ubogim a uczciwym człowiekiem, niż bogatym oszukańcem. — I zaczęła tu pani mielnikowi opowiadać całą historję, jako się z Sobkiem przytrafiło.

Mielnik nie chciał wierzyć swoim uszom. Kiedy ano dosłuchał do końca, pokłonił się pani niziutko.

— Cóż mi z tego — rzecze — kiedy on nic nie ma, a ja także nie wiele — dodał mielnik i tak łypnął oczami jak jendor gdy co połyka. — Toćby oni biedę musieli klepać.

— Ha, no, żeby biedy nie klepali — odezwała się pani na to wesoło — to ja tak rozkazuję: pustkę pod lasem daję na wieczne czasy Sobkowi i drzewa z lasu tyle, co na porządną zagrodę potrzeba.

Sobek złapał się za głowę z radości i upadł dobrodziejce do nóg plackiem jak długi.

— Nareszcie — mówiła pani dalej do Sobka kiedy powstał — daję ci te dukaty, coś już miał przy sobie na zagospodarowanie.

Sobek płakał i śmiał się ze swojego szczęścia.

— A ja dwa dukaty, a ja także dwa — mówili goście i każdy coś dorzucił na rękę pani.

Sobek nie wiedział już komu ma kolana ściskać, a mielnik tak się zadziwił, że mu aż oddech w brzuchu zaparło.

— Ale teraz panie Pytel — zaczęła pani znowu — musisz dać sute wiano twojej Kasi, bo inaczej krucho znami będzie.

— Ale dam, jużci dam — zakrzyknął mielnik. — A cóżbym ja nie dał takiemu walnemu człekowi, taż ja bym mu krwi z palca usączył. Obrócił się tu pan Pytel — i uściskał Sobka co miał siły.

Kasia siedziała wtedy w izbie zapłakana i nie wiedziała jakie jej się szczęście znaczy.

Jeszcze tego samego dnia, boć była Niedziela, dał Sobek na zapowiedzi i zaraz wziął się do stawiania zagrody.

Były nie długo potem zaręczyny u mielnika. Co żyło to hulało, a Kasia ze Sobkiem wycinali krakowiaka że aż miło było się patrzeć. Zatoczyli raz w koło. Sobek stanął przed basistą, rzucił dwa czeskie do basów i zaczął śpiewać:

Choć ja se parobczak a ty mielnikówna,
Toć ja tobie równy a i ty mi równa.

Poszli znowu raz w koło, a gdy mijali muzykę, zatrzymała Kasia wszystkie pary i zaśpiewała:

Choć ja mielnikówna, tobiem przeznaczona,
Tyś mi się spodobał, będę twoja żona.

We dwie niedziele potem było ogromne wesele. Radowali się od wieczora do rana. Sobek upominał się tylko u teścia o kawałek nosa, jako że się pan Pytel zaklinał żeby sobie dał prędzej sztukę nosa urzezać, niż żeby miał dać swoją Kasię za takiego chudego pachołka. Żyli potem ze sobą długo i szczęśliwie i jeszcze wydanym dzieciom rozpowiadali o onej przygodzie.

SZARAŃCZA

jako szkody wielkie ludziom robi i co z nią poczynać.

Różnych wrogów zsyła Pan Bóg na ludzi, ażeby też ich doświadczyć jako są stali w swej cnocie, albo też i za ciężkie grzechy jakie popełnili. Bywa więc że to raz człowiek jest wrogiem, inną razą ogień, woda, a już co najstraszniejszym wrogiem dla ludzi jest *szarańcza.*

Każdy zna konika polnego co po łąkach skacze, albo *świerszcza* co pod piecem w chałupach się kryje i oświerkuje sobie w zimie długiemi wieczorami. Owóż szarańcza zupełnie jest do nich podobna, jeno że trzy razy tak długa i gruba a żarłoczna, że niech Pan Bóg broni. A dwa są rodzaje między temi, co nas czasem całemi chmurami nalatują. Ta, co częściej się zjawia, ma brunatne skrzydła a po nich czarne czworograniaste plamy i zwie się *szarańcza wędrowna*, bo sobie też het z daleka wędruje, a co na drodze znajdzie to do szczętu wyżre. Druga jest więcej zielona a spodem żółta i aż prawie cielistej maści. Wierzchnie skrzydła dobrze szare i także na czarno różnemi bałamutami popisane. Owóż ta się nazywa *szarańcza tatarska*, bo od Tatarów do nas przychodzi, a szkody robi takoż takie a może i sroższe jak owe pogany Tatary, kiedy nam bywało dawnemi czasy jak zbóje na Polskę napadali.

Kiedy już szarańcza ma do nas wpaść, to bywa ono nieszczęście zwyczajnie w Lipcu albo w Sierpniu i to najczęściej w suchych i gorących latach. Leci naonczas ten gad niepoliczonym tłumem. Będzie temu ze sto dwadzieścia lat, jak nas ogromna szarańcza nawiedziła. Leciała ona wtedy taką chmurą na kilka mil długą i szeroką, że aż słońce zakrywała. Najskorzej jej idzie podróż, kiedy słońce mocno dogrzewa. Ranna rosa i chłód nocny nie bardzo jej służą. Siada zwyczajnie w południe na popas i żre co się jeno zmieści; ale już wszystko do szczętu niszczy w onych miejscach, kędy na nocleg upadnie. Żre ona zboże, trawę, liście na drzewach, a jak już to wszystko obeżre i nie ma się czego czepiać, to ogryzuje korę z drzew i słomę z poszycia. To też wygląda w tych miejscach, kędy szarańcza siedziała, jakoby jedno ogromne pogorzelisko. Wielki też głód potem bywa, gdy szarańcza ludzi nawiedzi, a często i pomorek z onego smrodliwego powietrza, co się z jej bobków i z pozdychanych ciał wydobywa. Dał Pan Bóg miłościwy różne inne zwierzęta, co się za szarańczą uganiają i pożerają to paskudztwo. I tak: szpaki, wrony, kruki, bociany i inne ptactwo. Bociany lecą gromadnie za szarańczą, a gdy widzą że usiędzie, zbierają się w szeregi i z wielką chciwością uderzają na nią. Kury kaczki, świnie, a nawet koty bardzo lubią szarańczę, nie wy-

chodzi im to jednak na zdrowie, dla tego że się bardzo obżerają tych gadów, więc potem chorują a często i giną. Aleć za mało to tych wszystkich nieprzyjaciół na taką niezliczoną moc onego paskudztwa. Trzeba żeby też i ludzie ją wytępiali, bo inaczej srogi głód następuje.

Owóż opowiem wam po krótce, jako trzeba bronić pola od tych gadów, żeby wam to było na pożytek, jakby broń Boże kiedy nas napadła.

Oto jak się tylko słych zacznie rozchodzić, że szarańcza przylatuje, to już powinneście postawić strażników na łanach i mierzwy zaraz nawieźć należy, żeby była gotowa do zapalenia. Trzeba na to osobliwie wtedy uważać, kiedy są dnie suche i gorące. Jak się więc już ukaże w powietrzu ona chmura szarańczy, zapalajcie duchem kurzyska i gońcie sporą kupę ludzi na koniach i piechoto, żeby robili srogi łoskot. Tym końcem powinny konni mieć jakie strzelbiny, żeby strzelać w tę chmurę a inni kosy, tasaki, łańcuchy, takoż dzwonki i trąbki i co kto ma, żeby był szczęk i łoskot przeokropny. Otóż szarańcza boi się takiego przywitania i ucieka w inne strony. Trzeba jeno uważać, żeby ją nie gonić na sąsiedzkie pola, ale gdzie w pustki, albo na ugory, na moczary gdzie są, żeby tyle szkody jak w zasianych polach nie zrobiła.

Jeżelić już nie pomoże on łoskot, a szarańcza spadnie na pole, gdzie już zboże doszło, ha! to już człowieku tam rady nie ma. Zdaj wszystko na wolę Bożą, a duchem zapalaj zboże na kilku końcach i to tak miarkuj, żeby wiatr co najrychlej ogień rozniósł po całym łanie. Spali-ci się twoja praca i twój chleb, aleć bo i tak nieby już z niego nie było. Zrobisz przynajmniej chrześcijańską usługę sąsiadowi, bo szarańcza skapie w ogniu i już dalej nie poleci. — Jak się zdarzy że szarańcza spadnie na ugory i łąki, to wtedy co żyje niech ją idzie tratować: to wozami, końmi i każdym ciężkim sprzętem, gdzie kto co nadybie. Najlepiej się wziąść do niej, kiedy mglisto i chłodno na dworze. Jeszcze lepiej o takim czasie w nocy, bo owad w ciemności nie widzi i trudno się zrywa ze ziemi. Pobitą szarańczę trzeba zmiatać w głębokie rowy, dobniami przytłukać i ziemią tęgo zasypać i udeptać. Pamiętajcież zaś nie brać do tratowania sza-

rańczy wołów jeno konie, bo woły ze smrodu, co szarańcza ze siebie wydaje, chorują a czasem i odchodzą. Także żeby mi każdy człek był ozuty porządnie, boć tam choć jedna szarańcza mocno nie uszczypie, ale jak ich jest kupa, to mogą zranić nogę. Dzieci i niedorostków nie trzeba brać wtedy, bo im także ów smród ze szarańczy szkodzi.

Tak się brońcie, kiedy szarańcza nadleci; aleć często się wydarza że ona w ziemi jaja kładzie, więc trzeba i o tem pamiętać.

Owóż trzeba wam wiedzieć, że jak szarańcza do nas przybędzie, to się tu i parzy w Sierpniu i Wrześniu. Samcy wnet potem zdychają, ale samice żyją jeszcze do Października. W tym miesiącu składają one jaja, zwykle w ziemię co świeżo zaorana. Do tego robi sobie samica dołek na pół palca głęboki, wpuszcza tam z 50 albo i 60 jajek, potem oblewa taką śliną, że się to wszystko zlepia w jedną grudkę razem ze ziemią. Wygląda to iście jakoby ziarnko bobu; a takich grudek złożyć może samica 3 albo 4, więc 200 jaj z okładem! Pomyślcież sobie jak się to strasznie rozmnażą ono paskudztwo!

Trzeba więc co najbaczniejsze mieć oko na takie pola, gdzie szarańcza w jesieni się zostawała, boć tam pewnie jaja zakopane leżą. Cóż więc robić na to? — Najprzód jeśli można, zatopić takie pola aż do tego czasu, kiedy mają przyjść mrozy, bo wilgoć psuje het jaja tych owadów. One grunta wypada zaś w drobne skiby płytko przeorywać, wyorane na wierzch grudki z jajami wybierać, potem rolę bronować, jeszcze zebrać co się zostało, a potem trzeba wszystko to do dołu zgarnąć, dobniami rozgnieść i ziemią tęgo przysypać. Do zbierania jaj najlepiej zrobicie, kiedy nagonicie dzieciaków z całej wsi, a i grosza nie szczędzić jak trzeba, bo się to wszystko i z czubem odpłaci.

Trudnoć tam wybrać jaja co do jednego. Coś się ich tam koniecznie zostać musi. Owóż w Marcu, a czasem i wcześniej, skoro jeno śnieg zejdzie i ciepło się zrobi, uważaj dobrze gospodarzu na te pola, gdzie szarańcza w jesieni siedziała, czy się tam co nie wylęże? Musisz wiedzieć, że młoda szarańcza to wygląda niby duża, czarna mrówka, jeno że nie łazi po ziemi ale skacze. Nie zasypiaj więc czasu, tylko duchem zbieraj

ludzi, wychodź jeszcze przed wschodem słońca i bierz się do roboty. Owóż niech ludzie biorą miotły do ręki, stają na około owego łanu, gdzie jest młoda szarańcza i niechże ją zmiatają do środka. Jak już będzie na kupie to paskudztwo, niechże inni co żywo kładą słomę na około i zapalają ją na różnych miejscach. Tak więc upiecze się w ogniu ono nieszczęście. Trzeba zaś to powtórzyć i drugi raz i trzeci, jeżeliby się jeszcze co zostało.

Nie na wiele ogień się przyda jak już szarańcza podrośnie, boć wtedy skacze bardzo daleko. Wtedy nie poradzi inaczej, tylko trzeba rowy kopać, szarańczę do nich napędzać, tam gnieść i ziemią znowu zasypywać. A jeślić niedorosła szarańcza oblazła pola, gdzie się już zboża podniosły, to już niema innej rady tylko zboże skosić, szarańczę otrząść i dopiero ją wytłuc tak jak się mówiło. Dobrze jest także wykaszać w takich zbożach ulice i kopać w onych rowki. Młoda szarańcza lubi tam załazić i wygrzewać się na słońcu. Nie trudno więc wtedy nałapać tego paskudztwa we wory, wytrząść do przyrządzonych dołów, dobniakami ugnieść i ziemią zasypać.

Otóż nagadałem wam się do syta, jakobyście sobie mogli radzić, gdyby broń Boże szarańcza do nas jeszcze kiedy zawitać miała. Lecz niechże Pan Bóg litościwy uchowa! I takeśmy biedni, ledwo że człek sam ma co do gęby włożyć, a tu jeszcze różne przypadki i wypłaty że się już i życie człowiekowi przykrzy! Oj dosyć nam się już leje gorącego sadła za skórę, toż panie Boże miłościwy broń nas od szarańczy, jako od najstraszniejszego wroga! —

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Sprawiedliwe nabycie i na morzu nie ginie.
2. Rychlej chudzina dla chudziny uczyni, niźli dostatni.
3. Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki.
4. Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.
5. Kto dobrze robi, śmierci się nie boi.
6. Przez niezgodę tracą ludzie swobodę.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**